



zimowe
Róże

BARTŁOMIEJ BIESIEKIRSKI

Bartłomiej Biesiekirski

ZIMOWE RÓŻE

b

Wrocław 2020

Tego autora:

JASNOWIDZ (Prószyński i S-ka, 2013)

SISKELE (Wydawnictwo „b”, 2015)

Copyright © Bartłomiej Biesiekirski, 2020

Projekt okładki
Izabella Retkowska

Zdjęcie na okładce
© Izabella Retkowska

PDF: ISBN-978-83-941132-4-7

EPUB: ISBN-978-83-941132-5-4

MOBI: ISBN-978-83-941132-6-1

Kiedy ludzie popełniają błędy, ja skrupulatnie wszystkie sumuję.

Pod koniec kwietnia, wyjątkowo ciepłego nawet jak na Wrocław, przytłoczony nudą oczekiwania i zmęczony samotnością, zdecydowałem się wreszcie wyjść z domu. Choć w praktyce oznaczało to zaledwie wizytę w handlowym centrum, potem spacer po ulicach miasta, z czasem poczułem częściowe odprężenie i ulgę. Niemal codziennie odkrywałem coś nowego: Wzgórze i Park Andersa, Muzeum Sztuki Cmentarnej, z szeregami kamieni na wiekowych nagrobkach, znaną wieżę ciśnień, stojącą między pasami alei Wiśniowej, bardziej przypominającą dom czarnoksiężnika niż budynek użytkowy. Ścieżki wzdłuż rzeki Ślęzy i Cmentarz Żołnierzy Polskich.

Na szczycie wzniesienia siadałem u stóp pomnika. Długo patrzyłem w przestrzeń. Raz na południe, w stronę wzniesień masywu Ślęzy i Gór Sowich, a czasem na ciasno skupione wokół centrum dachy. Wszystko tam było stare, kojarzyło mi się ze śmiercią. Ludzie, którzy budowali gród Vratislava i powołali miasto z niebytu sami spoczywali jako wymieszane z ziemią organiczne resztki. Fundamenty dosłownie stoją na kościach swoich mieszkańców, zapuszczając korzenie w to żyzne, odrzańskie błoto.

Po powrocie, zmęczony, wreszcie potrafiłem zasnąć i mogłem spać niemal do samego rana.

W pierwszy majowy weekend przyciągnęły mnie hałas megafonów i gwar tłumu, dolatujące z Parku Południowego. Tymczasowo mieszkałem kilkaset metrów od alei Powstańców

Śląskich, więc wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy. Wkrótce stałem za plecami grupy podnieconej bijatyką młodzieży, próbując obserwować walkę, a jednocześnie unikałem widoku spoconych, chłopięcych ciał. Żaden z zawodników nie przekroczył chyba jeszcze wieku dwudziestu lat. Mimo to ich umięśnione ramiona pokrywały już płataniny tatuażu. Uderzenia zadawali z zacierzowaniem terierów i sporą siłą. Ten ubrany w czerwony strój wciąż poprawiał opadający na czoło ochraniacz, ale właśnie on wydawał się być faworytem. Niebieski próbował trzymać dystans, co przy jego stosunkowo krótkich rękach wydawało się być chybioną taktyką.

Dramatyczne pozy jedynie mgliście przypominały antyczne, greckie igrzyska.

Z drugiej strony mogłem się mylić. Właściwie nie było takiej dyscypliny sportu, o której mógłbym powiedzieć, że się na niej znam. A zwłaszcza boks, który w moich oczach jest tylko próbą skanalizowania agresji otaczającego tłumu. Ciekawe jak głęboko ta agresja jest zakorzeniona, skoro pokazowa walka młodzików była częścią większego festynu, przeznaczonego dla wszystkich?

Minęło południe. Arenę ustawiono w samym środku parku. Alejki wypełniały spacerujące rodziny z dziećmi, więc nawet te najmniejsze, trzymające się kurczowo nogawek spodni ojców, mogły zobaczyć, jak po celnym trafieniu „niebieski” zawodnik zalewa się krwią płynącą z uszkodzonego nosa. Osłona nie była w stanie zamortyzować potężnego uderzenia. Tłum zafalował, rozległ się aplauz. Pojawiła się krew, więc walka była udana. Będzie jeszcze lepsza, jeśli jeden z młodzików straci przytomność. W Starożytnej Grecji walki zapewne przebiegały bardziej brutalnie, zwłaszcza że zawodnicy ginęli dla poklasku

gawiedzi. Ale mnie osobiście – ten widok już wystarczył.

Na dodatek poczułem mdlącą woń rozpalonego po drugiej stronie areny grilla. Ze spuszczoną głową podszedłem do stoiska, na którym można było kupić zarówno różowe balony, jak i akcesoria związane z toczącą się walką. Doprawdy, komercja zrównywała wszystko do jednego poziomu. Zapłaciłem za wodę mineralną i popijając wprost z butelki zwróciłem w głąb parku.

Wtedy go zauważyłem.

Chociaż nie, nie tak przecież było. Początkowo zupełnie nie zwróciłem na niego uwagi. Jedyne odruchowo oceniłem wzór koszuli. Zawodowe wypaczenie. Najpierw interesuje mnie, jak człowiek jest ubrany. Dopiero wtedy, kiedy obejrzę jego marynarkę, koszulę, patrzę na buty i spodnie. Twarz w dalszej kolejności.

Materiał i krój koszuli, chociaż wymiętej, z pewnością noszonej od kilku dni, na moje oko były podejrzenie znajome i sugerowały jedną z londyńskich pracowni. Ponieważ mężczyzna stał oparty o pień dębu, z marynarką niedbale przerzuconą przez ramię, mogłem obejść go niezauważony. Ukryty w cieniu innego wiekowego drzewa, mechanicznym ruchem przytykając butelkę z wodą do ust i pociągając małe łyki, przyglądałem mu się z bezpiecznej odległości.

Stał bokiem, z jedną ręką w kieszeni spodni, spod opadających na czoło włosów i zmarszczonym czołem śledził końcówkę sparingu. O dziwo, wcale przy tym nie wyglądał na widza, tylko na łowcę talentów, zniechęconego poziomem obiecującego zawodnika. Kiedy sędzia przerwał walkę, bo mimo starań lekarza nos „niebieskiego” wciąż krwawił, mężczyzna pogardliwie skrzywił usta, oderwał się od pnia drzewa i przełożył

marynarkę na drugie ramię. Przez moment mignęła przymocowana do podszewki etykieta. „Holland & Sherry”, złotą nicią wyszyte na błękitnym prostokącie płótna. Miałem rację. Angielski krój.

Tamtego dnia zniknął w tłumie, a ja też wkrótce uciekłem przed hałasem i zamieszaniem, które w nadmiarze zaczęły dokuczać.

W połowie maja wróciły chmury i nieprzyjemny wiatr, pomimo, a może na przekór temu, że na Dolnym Śląsku wiosna rozpanoszyła się już na dobre. Znowu zaczęły mi dokuczać napady złego nastroju, a potem, co było nieuniknione, przyplątały się wyrzuty sumienia i wątpliwości. Chociaż nie podjąłem jeszcze decyzji i nie miałem czego żałować, to sama świadomość, że o tym myślę, męczyła. Zmuszałem się do pokonywania pieszo dużych dystansów i często wracałem późną nocą. Dla ochrony przed wilgocią na spacerach zakładałem płaszcz i zabierałem duży parasol.

We wtorek wyszedłem wcześniej rano i po kilku godzinach, spacerując w deszczu Wybrzeżem Wyspiańskiego w stronę Mostu Zwierzynieckiego, przechodziłem obok pozostałości umocnień z czasów wojny. Na betonowym murku siedział, owinięty przemoczoną marynarką od Holland & Sherry, mężczyzna, którego widziałem w parku na początku maja. Wciąż nosił tę samą, wymiętą koszulę, ale na jego twarzy pojawiły się świeże sińce, które musiały być pozostałością bójki. Nie sprawiał już wrażenia pewnego siebie widza walki bokserskiej. Teraz wyglądał

jak bezdomny, na dodatek jak ofiara przemocy. Można takich zobaczyć po zmroku w pobliżu dyskontów, jak próbują wyłudzić monety wyjmowane ze sklepowego wózka.

Zwolniłem kroku. Z kasztanowców spadały krople deszczówki, łomocząc w otwarty parasol nad moją głową. Mimo że nie było bardzo zimno, mężczyzna wyraźnie dygotał, przyciskając poły marynarki do piersi. Możliwe, że oprócz ludzi, dopadła go gorączka. Wyglądał żałośnie; kiedy podniósł na mnie spojrzenie zapuchniętych oczu, odruchowo uciekłem.

Omijając kałuże dotarłem do kamiennych obelisków mostu, wykonanych z czerwonego piaskowca. Urokliwa przeprawa na drugą stronę Starej Odry. Naszła mnie myśl, że chyba większość z ocalałych budynków, parków i mostów we Wrocławiu, których nie stawiano w czasach średniowiecza, ma za budowniczych inżynierów o niemieckich nazwiskach. Mimo że od czasów wojny minęło już siedemdziesiąt lat. Jako turysta nie miałem bladego pojęcia, czy w tym czasie powstało coś w przybliżeniu choćby interesującego.

Początkowo chciałem odwiedzić ogród zoologiczny, kiedy jednak zobaczyłem wzmożony ruch uliczny, tym bardziej hałaśliwy, że asfalt pełen był wypełniającej koleiny wody, poczułem zniechęcenie. Zrozumiałem, że nie uśmiecha mi się przepychanie przez tłum krzyczących dzieci. Przystanąłem więc, nie wchodząc na most. Z przenikliwym zgrzytem przejechał tramwaj.

Mimo hałasu coś usłyszałem. Uniosłem krawędź parasola i spojrzałem w tył. Zdążyłem zobaczyć, jak niedaleko betonowego wzmocnienia staje samochód straży miejskiej. Szczęknięty otwierane drzwi i po chwili na mokrą, jadowicie zieloną trawę

wyszła dwójka umundurowanych funkcjonariuszy. Oboje, bo jednym z nich była kobieta, stanęli za plecami przycupniętego na murku mężczyzny. Zapominając o wcześniejszych wątpliwościach, zawróciłem.

– Jak się nazywasz? – napastliwie indagowała otyła funkcjonariuszka, bezceremonialnie potrząsając siedzącym. – Masz jakieś dokumenty?

Coś jej odpowiedział, ale do mnie nie dotarło ani jedno słowo, bo kobieta znowu zaczęła pokrzykiwać. Podobnie zachowują się ludzie, którzy uważają, że mają przed sobą upośledzonego umysłowo. Ona tak samo by potraktowała starca i małe dziecko, a zapewne też obcokrajowca, którego niezrozumiały język mogła uznać za wadę rozwojową.

Podszedłem. Towarzysz otyłej kobiety, nadal rozsądnie zachowując milczenie, zaczął mi się przyglądać. Chyba próbował ocenić, czy jestem przypadkowym widzkiem, czy może warto mnie potraktować gazem pieprzowym. Na wszelki wypadek uśmiechnąłem się.

– Zostałem okradziony – mówił mężczyzna.

– Wszyscy tak mówią. Ile wypijeś? Brałeś coś?

– Jestem chory.

– W wytrzeźwiałce cię zbadają – zaśmiała się złośliwie i z satysfakcją.

Złożyłem parasol, przewiesiłem go przez ręką i stanąłem obok kobiety.

– Tu jesteś! – powiedziałem. – Przemek, do diabła, narobiłeś zamieszania.

Cała trójka spojrzała na mnie. Ale ja skupiłem uwagę na opuchniętej twarzy mężczyzny. Miałem nadzieję, że zachowuję

się jak ktoś, kto naprawdę czuje ulgę na widok zguby. Ignorując strażników położyłem dłoń na ramieniu mężczyzny i z bliska zajrzałem mu w twarz. Przyklejone do czoła, mokre włosy zasłaniały oczy, wyglądał na ledwie przytomnego. Zaciśnąłem palce. Miałem nadzieję, że zrozumie.

– Przemokłeś do nitki – nie przerywałem, próbując zagłuszyć otyłą kobietę. – Zaraz cię zabieram do domu. Tylko znajdę taksówkę...

– Zna go pan? – O dziwo, zapytał strażnik, nie jego towarzyszka.

Odwrociłem się do nich, przywołując na twarz wyraz zaskoczenia.

– Oczywiście, przecież wczoraj zgłaszałem jego zaginięcie. To dlatego tu jesteście, prawda?

Oboje się zmieszali, jakbym przyłapał ich na niedozwolonym zachowaniu.

– Ktoś zadzwonił, że pijacy siedzą...

– Ależ on jest chory! – wykrzyknąłem. – Jak można pomylić chorego z pijakiem! Już dzwonię po taksówkę.

Wyjąłem telefon i odnalazłem numer korporacji, z której usług często korzystałem. Pod palcami czułem trawiącą mężczyznę gorączkę. Nieprzyjemne uczucie, nawet przez materiał angielskiej marynarki. Tak samo paliło mnie spojrzenie, którego nie odrywał od mojej twarzy. Później się okazało, że tak naprawdę niewiele zapamiętał z całego zamieszania.

– Z nim jest coś nie tak? – zapytała strażniczka.

– Przemek wciąż jest jak dziecko – wyjaśniłem. – Chociaż dobiega czterdziestki.

Strażnicy wrócili do samochodu, ale czekali, aż przyjedzie

taksówka. A potem żadne z nich mi nie pomogło, kiedy się okazało, że chory zaczął tracić przytomność. Musiałem przerzucić sobie jego rękę na plecy i z trudem wsadziłem do taksówki. Kiedy jechaliśmy w stronę Krzyków, przypomniałem sobie o parasolu. Został nad Starą Odrą, oparty o pokryty grafitti betonowy mur poniemieckich umocnień.

Kierowca taksówki zignorował moją prośbę o pomoc w odprowadzeniu ślaniającego się na nogach mężczyzny. Czekał, aż zaproponuję pieniądze, ale ja tamtego dnia już straciłem swój dwukolorowy parasol. Nie był może bardzo cenny, ale przywiązałem się do niego i dobrze mi służył od lat.

Wynajęty dom stał w pewnym oddaleniu od ulicy Orlej. Żeby dotrzeć do wejścia, najpierw było trzeba przejść między dwiema willami o częściowo odrestaurowanych fasadach. Jedna zardzewiała furka, potem długi, zarośnięty krzakami bzu pasaż – zanim został ogrodzony, wykorzystywany jako dziki parking – i druga, wewnętrzna bramka. Wąska, co boleśnie odczułem próbując przeciągnąć niezbyt pomocnego, na wpół przytomnego mężczyznę. Deszcz kapał mi za kołnierz, ale kiedy z bliska spojrzałem na zakrytą mokrymi włosami twarz zrozumiałem, że zdążyłem w samą porę. Dysząc z wysiłku otworzyłem drzwi prowadzące na werandę. Dalej nie dałem już rady, ale weranda była wyposażona w dwa fotele, stół i skórzaną kanapę. Posadziłem na niej chorego.

W jaki sposób jeden mężczyzna może zdjąć z drugiego, zupełnie obcego mężczyzny, ubranie, bez seksualnych skojarzeń

czy podejrzeń o kradzież? Na dodatek próbując chronić czyjeś zdrowie, lub, w najgorszym przypadku, ratować życie? Cóż, na wszelki wypadek powinien to robić po kryjomu. Ten dom, chociaż stał w otoczeniu dwóch innych, był stworzony do dyskrecji. Zanim zacząłem wychodzić, ukrytą w plataninie wiecznie zielonego bluszczu, przeszkloną werandę wykorzystywałem jako czytelnię.

Zdjąłem z mojego gościa przemoczoną marynarkę, potem, z kłopotami, zapoconą koszulę. Podkoszulek też był wilgotny, ale dałem sobie z nim spokój. Otworzył na chwilę oczy i wymamrotał coś pod nosem. Zignorowałem go. Ułożyłem ledwie przytomnego na kanapie, z mojej sypialni przyniosłem stos koców. Wtedy zmusiłem się, żeby pozbawić go butów i spodni, co, w moim odczuciu, było już naprawdę szczytem pogwałcenia nietykalności obcego człowieka. Stwierdziłem jednocześnie, że tyle powinno wystarczyć. Przykryłem leżącego kocami, a wtedy zapadł w sen. Głęboki jak studnia.

Obserwowałem go dłuższą chwilę, ale nie wyglądało, żeby miał się ocknąć przez najbliższych kilka godzin. Spojrzałem na zegarek. Piąta po południu. Do zmroku zostało sporo czasu, więc mogłem jeszcze poczytać.

Zaparzyłem dzbanek herbaty dla siebie, a dla mojego gościa przygotowałem rozpuszczoną w wodzie aspirynę i sok pomarańczowy. Wprawdzie gorączka nie była tak bardzo wyczuwalna, a przynajmniej trochę zmaląła, z pewnością obudzi się spragniony. Zająłem fotel po drugiej stronie małej werandy. Na razie nie włączałem jeszcze lampki do czytania, a przestrzeń wypełniało słabe, szare światło pochmurnego dnia. O dach nad moją głową z delikatnym szumem uderzały krople deszczu.

Obcy nie był specjalnie przystojny, chociaż brzydalem też nie można go nazwać. Na dodatek w jego wyglądzie było coś niepokojącego, nieprzyjemnego. Sińce i otarcia, efekt pobicia, z pewnością nie znikną jeszcze przez parę dni. Przez sen nerwowo oddychał, marszcząc przy tym brwi i zaciskając usta. Miał ciemne, sklejone wilgocią włosy. Ich czesanie, nawet w zwykłych warunkach, musiało być uciążliwe, bo na końcach same się kręciły. Siedząc w fotelu i słuchając tego ciężkiego, nerwowego oddechu, kiedy wreszcie miałem czas pomyśleć, zadałem sobie wreszcie pytanie, czy dobrze zrobiłem sprowadzając go do swojego – chociaż właściwie wynajętego – domu. Musiałem się nad tym zastanowić, ale odłożyłem to na później. Ja też byłem zmęczony.

Znalazłem schowaną na półce pod stołem książkę i otworzyłem na zaznaczonej stronie. Czytałem przez kolejną godzinę, aż zrobiło się zbyt ciemno. Nie chciałem zapalać światła, więc przenieśliem się do kuchni. Podniosłem rzucone na podłogę, brudne ubranie. Koszula trafiła od razu do śmieci, ale garnitur można jeszcze było uratować. Znalazłem odpowiednio szerokie wieszaki, wygładziłem marynarkę, potem spodnie i zaniósłem wszystko do łazienki. Napuściłem do wanny gorącej wody, umocowałem nad nią wieszaki. Wystarczy poczekać jakąś godzinę, potem zajmę się czyszczeniem. Niezbyt lubiłem to robić, jednak z drugiej strony bardziej nie znosiłem smrodu pralni chemicznej. Coś za coś.

Po powrocie na ganek zobaczyłem, że mężczyzna wciąż leży pod kocem, ale oczy ma otwarte. Spojrzał na mnie całkiem przytomnie, choć trudno powiedzieć, co sobie pomyślał. Zmarszczył tylko brwi. Chyba nie pamiętał, jak się tu znalazł. Na

wszelki wypadek znowu zająłem fotel po drugiej stronie werandy.

– Wypij trochę soku – wskazałem na szklanki. – Tam jest też rozpuszczona aspiryna. Nie jesteś przypadkiem na nią uczulony?

Już zacząłem wątpić, że mnie słyszy, ale on chyba zbierał siły. Stęknął lekko i usiadł na kanapie, przytrzymując koc przy piersi. Spojrzał w dół, na swoje stopy.

– Twoje ubranie się suszy – wyjaśniłem.

Sięgnął po szklankę z sokiem pomarańczowym. Zanim przytknął ją do ust, z powodu drżenia rąk rozlał trochę na blat stołu. Ale kiedy zaczął pić, nie przestał, zanim nie opróżnił naczynia do dna. Potem równie szybko rozprawił się z aspiryną. Udałem, że nie widzę, kiedy najpierw badawczo powąchał mętny płyn. Nie poczułem się urażony brakiem zaufania. Ja w podobnej sytuacji też bym zachował czujność.

Zastanawiał się nad czymś i w końcu powiedział:

– Muszę do kibelka.

Głos miał bezbarwny i trochę niewyraźnie wymawiał słowa. Może z powodu rozbitej wargi. Wskazałem w głąb przedsionka.

– Na samym końcu – wyjaśniłem. – Tylko się nie przestrasz. Nad wanną wisi twój garnitur. Sporo wycierpiał.

Skinął głową i wstał. Nieco chwiejnie poczłapał w samych skarpetkach. Nie ruszałem się, dopóki nie wrócił na kanapę. Siedział jeszcze przez chwilę, ale widać było, że walczy z sennością.

– Zostawię cię tu na noc – powiedziałem. – Zamknę drzwi do przedsionka, ale wyjściowe są otwarte. Zostawię ci sok i kilka kanapek. Jeżeli będziesz chciał skorzystać z toalety, albo źle się poczujesz, zapukaj w ścianę. Tam jest moja sypialnia. Na pewno się obudzę.

Marszczył swoje czarne brwi, ale chyba zrezygnował z zadawania pytań. Skinął znowu głową, zarzucił na siebie koc i natychmiast zasnął. To dobrze, sen jest najlepszym lekarstwem. Na wszelkie dolegliwości. Tak samo ciała, jak i duszy.

Do późna biedziłem się z czyszczeniem garnituru. Około północy wyprasowałem go jeszcze przez wilgotną ściereczkę. Zmęczenie dało o sobie znać i tylko sprawdziłem, czy mój gość śpi. Stałem przez chwilę w progu ciemnej i chłodnej werandy, słuchając jego niespokojnego oddechu. Musiał coś śnić i zapewne nic dobrego. Pomyślałem, że rzadko śnią się ludziom rzeczy przyjemne. Być może tylko w dzieciństwie, a później dobro się rozmywa, z czasem jego definicja staje się niejasna. Z wiekiem wszystko ulega wymieszaniu i w końcu przegrywa z szarą strefą wartości.

Nasłuchując zauważyłem, że deszcz przestał bębnić w dach. Wróciłem do przedśionka, zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem spać. Mnie nic się nie przyśniło.

Rano wyglądał już dużo lepiej. Wziął gorący prysznic, a ja przygotowałem mu czyste ubranie. Wprawdzie okazało się, że prawdziwą przyczyną osłabienia było niedożywienie i gorączka, ale na żebrach miał kolejne, paskudne stłuczenia. Zauważyłem to w chwili, kiedy zakładał pożyczoną koszulę. Skrzywił się i syknął przez zęby.

– Osłoniłem głowę, ale kiedy upadłem, zaczęli mnie kopać – wyjaśnił niechętnie.

Nic na to nie powiedziałem, ale widać czuł się zobowiązany,

żeby wytłumaczyć.

– Tak naprawdę nie jestem menelem, który...

– Niczego mi nie zawdzięczasz – przerwałem. – Zjemy śniadanie i wtedy sam zdecydujesz, co dalej.

Dobrze wyczułem, że ten człowiek ma swoją historię. Tacy jak on wyróżniają się z nijakiego tłumu, chociaż potem mogło się też okazać, że tak naprawdę nie chciałem słyszeć tego, co miał do powiedzenia. Muszę się przyznać, że gromadzenie dobrych ubrań pasjonuje mnie prawie tak samo, jak kolekcjonowanie ludzkich życiorysów.

Rzucił się na jedzenie zachłannie, więc nie miałem sumienia mu przerywać. Dopiero kiedy zniknęły jajka na twardo, podgrzewane oliwki, kozi ser i cały chleb, wtedy jako deser pokroiłem dojrzałe mango, zaparzyłem jeszcze jeden dzbanek kawy.

– Nazywam się Krzysztof Warda – powiedział, westchnął ciężko i odchylił się na oparcie kuchennego krzesła. – Powinienem był wcześniej...

– Zrobiłeś to teraz. Nie ma o czym mówić. Połknij dwie aspiryny. – Przesunąłem po blacie stołu pigułki. – Wprawdzie gorączka minęła, ale te sińce muszą naprawdę boleć.

Wziął do ręki lekarstwo, ale tylko obracał je w palcach. Wiedziałem, co teraz nastąpi, ale udawałem, że jestem zajęty nalewaniem kawy. Pociągnąłem tyk, czując na sobie jego uważne spojrzenie. Naprawdę potrafił patrzeć. Jak drapieźnik.

– Czy pan jest... – zawahał się. – Gejem? Czegoś pan chce ode mnie?

Pokręciłem przecząco głową. Popijając kawę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Nie jestem pedałem – wyjaśniłem. – W młodości przeprowadziłem jeden koleżeński eksperyment z grecką miłością, ale nie podobało mi się. Od tego czasu jestem wyłącznie heteroseksualny. Czasem popatrzę za dziewczętami w wieku szkolnym, ale nie uważam się za pedofila. Nawet seks z przypadkowymi kobietami uprawiam raczej rzadko. Myślę, że tak naprawdę wolę długie i satysfakcjonujące podboje. Na dodatek traktuję te sprawy jako element procesu rozmnażania.

Wrzucił do ust aspirynę i popił kawą. Chyba udało mi się go wprawić w zakłopotanie, a może też trochę rozbawić. Nie był więc człowiekiem zupełnie straconym.

– No to czemu tu jestem? – zapytał wreszcie.

Nie odpowiedziałem. Wskazałem na kuchenne okno, gdzie przez od dawna nieprzycinane krzaki kaliny wonnej przebijało słoneczne światło.

– Mam dużo czasu – powiedziałem. – Nawet za dużo, jeśli mogę tak powiedzieć.

Zmarszczył brwi i znowu obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem. Najwyraźniej próbował ocenić, jak się dla niego skończy ten dzień. Powinienem znaleźć sposób i czymś go zainteresować.

– Padało przez cały tydzień. Czujesz się na siłach, żeby wyjść na krótki spacer?

Był moim gościem, więc musiał się zgodzić. Nawet jeśli wziąć pod uwagę spędzone pod gołym niebem dni, to wciąż jeszcze był cywilizowanym, na swój sposób uprzejmym człowiekiem. Mimo ponurej aparycji, tak naprawdę życie niczego go nie nauczyło. Ciekawe jak głęboko musi zostać zraniony, żeby wreszcie zmądrzał?

Ubrany w jeden z moich swetrów i swoje szare spodnie od Holland & Sherry, Warda wyglądał o wiele lepiej. Nawet sińce na twarzy jakby trochę zbladły. Nadal poruszał się sztywno, odruchowo przyciskając dłoń do stłuczonego boku. Nawet po kilku aspirynach musiał mu dokuczać.

– Nie idziemy daleko – pocieszałem, zamykając drzwi na klucz. – Dosłownie przez ulicę. Dużo spacerowałem przez kilka ostatnich tygodni i nie potrafię usiedzieć na miejscu.

Skinął głową, ale tak naprawdę patrzył na drewnianą fasadę.

– Dziwne miejsce – stwierdził.

– To prawda. Podwójnie na uboczu.

Kiedyś ten dom musiał należeć do zabudowań gospodarczych jednej z pobliskich willi. Parterowa, podłużna bryła o dwuspadowym dachu, zbudowana z ułożonych w jodełkę desek. Po bokach, w odległości najwyżej pięciu metrów, górowały nad nami ślepe ściany sąsiednich budynków. Na dodatek wszystko gubiło się w zielonym cieniu dwóch rozłożystych klonów.

– Idealne miejsce na morderstwo – mruknął pod nosem Warda.

– Masz nadzwyczaj ponure myśli – zaśmiałem się. – Wyjdźmy na słońce.

Na wszelki wypadek zamknąłem pierwszą furtkę, bo druga, ta przy samej ulicy, odrapana i zardzewiała, najwyraźniej od zawsze stała otworem.

– To nie jest mój dom. Tylko go wynajmuję.

– Brak numeru. Tutejszy listonosz musi znać wszystkich na pamięć.

– Pewnie masz rację.

Wskazałem drogę i ruszyliśmy spacerowym krokiem. Minęła dziesiąta przed południem, ale zapomniałem, jaki jest dzień tygodnia. Sprawdziłem na telefonie. Środa.

Warda zauważył mój gest.

– Spiesz się pan?

– Nie – zaprzeczyłem. – Wręcz przeciwnie. Czekam na wiadomość, ale nie jestem pewien, kiedy przyjdzie.

– To coś ważnego?

Czułem, że próbuje mnie wybadać.

– Dla mnie tak. Ale jeszcze ważniejsze dla moich pracowników.

Obaj zamilkliśmy, mijając betonowy kościół, przypominający raczej część umocnień „Festung Breslau” niż miejsce kultu, i potem przekraczając ruchliwą ulicę Powstańców Śląskich. W wyciem silnika przemknął motocykl. W zatoczce zatrzymał się autobus i wyrzucił ze swojego wnętrza tłumek starych ludzi. Ich grupa podzieliła się na dwie części. Jedna ruszyła w kierunku kościoła, druga, razem z nami, zmierzała do Parku Południowego. Kiedy już szliśmy zadrzewionymi alejkami, widziałem jak twarz Wardy zaczyna się zmieniać. Chyba sobie mnie przypomniął. Odwrócił się ze zmarszczonym czołem i na wpół otwartymi ustami. Ale nie padło żadne pytanie.

Dotarliśmy do stawu, żeby zająć jedną ze stojących w słońcu ławek. Na szczęście jej siedzisko zdążyło już wyschnąć po wielu dniach ulew.

– Ten park zaprojektowali architekt Hugo Richter i botanik Ferdinand Cohn pod koniec dziewiętnastego wieku – powiedziałem. – Na gruntach подарowanych miastu przez

jednego tylko właściciela. W zamian za podłączenie wsi Borek do sieci kanalizacyjnej i gazociągowej. Wyobrażasz sobie, jak bardzo musiał być bogaty?

Warda w milczeniu patrzył przed siebie, na fontanny wyrzucające wodne kurtyny i kaczki ganiające się po powierzchni stawu.

– Chyba pana pamiętam – powiedział wreszcie. – Widziałem pana w czasie parkowej imprezy. Bokswali się dwaj chłopcy.

– Tak jest – przytaknąłem i założyłem nogę na nogę. – Właśnie dlatego cię tu przyprowadziłem. Inaczej byś mi nie uwierzył.

– Śledził mnie pan?

– No właśnie – westchnąłem, udając rezygnację. – O tym właśnie mówiłem.

Wyciągnąłem rękę i złapałem za nogawkę jego spodni.

– Tylko dlatego w ogóle cię zauważyłem.

– Przez spodnie? – Nawet teraz się nie uśmiechnął.

– Holland & Sherry.

Nareszcie jego nieufna do tej pory twarz trochę się wygładziła.

– Zbyt dobrze dopasowany komplet, żeby był kradziony – mówiłem wciąż tonem wyjaśnienia. – Jeżeli ktoś ubrany w taki garnitur śpi w parku, musi mieć ku temu powody.

– Czyli gdyby nie ta naszywka, siedziałbym w izbie wytrzeźwień? – zapytał.

– Nawet mimo tej naszywki – stwierdziłem trochę złośliwie. – Gdyby nie padał deszcz, a ja bym się nie przestraszył dzieci w ogrodzie zoologicznym, wtedy byś tam wylądował bez cienia wątpliwości.

– Czyli to naprawdę był przypadek?

– Oczywiście – skłamałem, a ponieważ do tej pory dobrze go traktowałem i w ważnych sprawach byłem całkowicie szczerzy, chyba mi uwierzył. Nawet wbrew swojemu na pozór nieufnemu usposobieniu. Wydaje mi się, że każdy człowiek potrzebuje chociaż jednej osoby, przed którą mógłby przestać udawać kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. Tymczasowo padło na mnie.

Słońce zaczęło mocniej przygrzewać, a Warda wciąż był osłabiony, więc przenieśliśmy się na bardziej zacienioną ławkę. Kupiłem w restauracji obok stawu dwa brzoskwiniowe napoje i chociaż okazały się paskudne, obaj cierpieliśmy w milczeniu.

– Dlaczego pana interesują takie rzeczy? – Warda wciąż na mnie nie patrzył. – Trzeba się chyba znać na ubraniach...

– To prawda. Ja się znam – potaknałem, skubiąc naklejkę na butelce. – Mam niedużą firmę tekstylną. Właśnie z jej powodu siedzę we Wrocławiu i czekam.

– Czekasz pan? Na co?

Gdzieś za nami basowym głosem szczekał pies. Obejrzałem się. Właściciel wielkiego mastifa rzucał piłkę, a pies, niepomny swoich ogromnych rozmiarów, hasał niczym szczeniakiem.

– Jakiś czas temu odkupiłem zakład tekstylny. Nieźle szła produkcja płaszczy i kurtek, ale ja chciałem zrobić coś lepszego. Konkurować z tym – wskazałem na szare spodnie. – I wszystko poszło nie tak. Jestem umówiony z kilkoma osobami.

– Tu, we Wrocławiu?

– Tak. Wszystko przez ten cholerny Wrocław.

– Dlaczego? Miasto to przecież tylko miejsce.

Rozłożyłem spoczywające na kolanach dłonie.

– Miasto to ludzie. Gdybym został w Bydgoszczy, mój zakład

nadal produkowałby kurtki. Dobry towar, łatwy do sprzedania. Po prostu wystarczy udawać, że się nadąża za modą.

Zamilkłem, próbując powstrzymać powracającą falę złości. Warda czekał. Albo naprawdę zainteresowany, albo miał ochotę posłuchać chociaż raz o problemach, które go nie dotyczą.

– Ale mnie to nie wystarczyło – powiedziałem i usłyszałem we własnym głosie rozgoryczenie. – Zbadałem rynki Słowenii, Węgier i Czech. Zatrudniłem dwóch doświadczonych krawców. To nie miały być garnitury na miarę, ale z dobrego materiału. Jeździłem, pukałem do wszystkich drzwi. W kraju nie miałem szans. Ale, o dziwo, na południu chcieli nosić cienkie, eleganckie ubrania. I wtedy przenieśliśmy zakład do Wrocławia... Żeby być bliżej granicy i mieć ułatwiony transport.

– I co się stało?

– Gdyby to były jakieś problemy z produkcją, transportem... – Potrząsnąłem butelką z resztkami brzoskwiniowego napoju. Na jego powierzchni utworzyła się obrzydliwa piana. – Ale wszystko załatwiła konkurencja. Ci, którym nie w smak był przybysz z zewnątrz. Żadnych gróźb, próby zastraszenia. Nic z tych rzeczy.

Majowe powietrze wypełniał basowy głos zdyszanego mastifa. Jestem jak ten pies, pomyślałem. Nie potrafię odpuścić, dopóki ktoś mi rzuca piłkę.

– Po prostu wszystkie drzwi się zamknęły. W magazynie wieszaki zapełniły się gotowymi ubraniami. Ci, z którymi, jak myślałem, jestem umówiony, nagle zmieniali zdanie.

– Nie pomyślał pan, że ktoś z waszej firmy pana zdradził?

– Pomyślałem. Ale, na dobrą sprawę, nie mam nic do ukrycia.

– A te umowy? Były na piśmie?

– Pewnie, że mogę iść do sądu – zaśmiałem się, rozdrażniony.

– Za kilka lat może nawet się dowiem, że miałem rację. Wtedy będę mógł wystąpić o odszkodowanie. Na które znowu poczekam kolejne lata. Nie, to nie dla mnie. Jestem kimś, kto nie potrafi odpuścić.

– Zemścić się?

– Nie. Nawet bym nie wiedział, na kim. Jest kilka osób, z którymi mam się spotkać.

– To jest właśnie ta wiadomość, na którą pan czeka?

– Dokładnie.

– Co oni poradzą?

– Jeszcze nie wiem. Może przeniosę się do Czech, może pozwolę komuś wejść do spółki. Na razie czekam.

– Jak długo?

Sam sobie zadawałem to pytanie. Bardzo długo. Nagle poczułem rozbawienie.

– Aż ty wyzdrowiejesz.

Warda znowu spochmurniał. Zapewne przypomniał sobie, że to on z nas dwóch jest w większych tarapatkach. Tak mi się przynajmniej wydawało. Splótł dłonie na kolanach i zacisnął palce tak mocno, aż stawy chrupnęły. Mimo przyjemnie ciepłego powietrza, od niego wyraźnie powiało chłodem.

– Jakie plany ma pan wobec mnie?

Zastanowiłem się.

– W tej chwili żadnych. Dopóki nie nadejdzie jakaś wiadomość. Dobra czy zła, czekam. Możesz czekać ze mną.

Po zwirowanych ścieżkach przejechało kilku rowerzystów. Przeszła para młodych Azjatów, przy czym oboje byli wyżsi ode mnie o dobre pół głowy. Na trawie, pod starą, pomarszczoną wierzbą, siedziała dziewczyna z małym, może czteroletnim

chłopcem. Początkowo myślałem, że to matka z synem, ale kiedy zobaczyłem jak kobieta tłumaczy małemu treść porozkładanych dokoła książeczek z ćwiczeniami zrozumiałem, że patrzę na nowoczesną, dobrze opłacaną nianię. Uczyła malca języka angielskiego i matematyki. Z niedowierzaniem pokręciłem głową.

– Rok temu wyszedłem z więzienia – powiedział Warda. On też nie odrywał wzroku od młodej niani. Odniosłem jednak wrażenie, że widzi w niej kogoś innego niż ja.

– Za co siedziałeś?

Nie odpowiedział. Zmarszczył tylko czoło i nie spuszczał oczu z jasnowłosej kobiety. Przeszło obok nas całe mnóstwo atrakcyjnych dziewczyn. Rozleniwionych wiosenną aurą studentek i uczennic, zaaferowanych młodych matek z wózkami, pary w objęciach, jednak on nie zwracał na nie uwagi. Trwało to kilka minut, aż wreszcie zrozumiałem, że kogoś mu przypomina. Dziewczyna zorientowała się, że jest obiektem zainteresowania. Była ładna, musiała więc być do tego przyzwyczajona. Jednak kiedy szybko zerknęła na ponurą twarz Wardy, wciąż posiniaczoną, widać było, jak jej ciało sztywnieje. Zamilkła, a znudzony chłopiec zaczął wyrywać kartkę z jednej z książeczek. Pomyślałem, że jeszcze tylko tego nam brakowało, żeby niania zaalarmowała policję.

Od strony zakrytej przez drzewa ulicy doleciał nas ostry dźwięk sygnału karetki pogotowia. Warda ocknął się z zamyślenia. Może miał złe skojarzenia związane z tym ostrym dźwiękiem, od którego stawały w oczach łzy.

– Lepiej już chodźmy – zaproponowałem, a on nie protestował.

Wrzuciliśmy częściowo tylko opróżnione butelki do śmietnika

i przeszliśmy mostkiem przerzuconym nad kanałem. Odpoczywające na wodzie kaczkę uważnie obserwowały nasze puste ręce, ale kiedy jakieś dzieci zaczęły rzucać wafle na drugim brzegu stawu, ptaki zerwały się do ciężkiego lotu.

Obok przejścia przez ulicę Powstańców Śląskich zobaczyliśmy zbiegowisko i stroboskopowe, niebieskie światła karetki pogotowia. Właśnie podjeżdżał też samochód policyjny. Na środku jezdni, pośród masy plastikowych odłamków, leżał motocykl. Na krawężniku siedział oszołomiony kierowca, bez kasku i z rozbitym nosem. Kiedy przeszliśmy przez ulicę zobaczyliśmy, że tłum ludzi otacza leżącą postać. Jeden z pielęgniarzy prosił o odrobinę przestrzeni, ale starsi ludzie, być może ci sami, którzy spieszyli na przedpołudniową mszę, nie potrafili oderwać się od rannego lub już martwego ciała. Jakby sami nie do końca pewni, czy naprawdę tego ranka wstali z łóżek i czy nie zmarli we śnie. Może chcieli sprawdzić, dotknąć i porównać, czy jeszcze nie nadszedł ich czas.

W milczeniu wróciliśmy do ukrytego między starymi willami, drewnianego domu. Przez kontrast ze słonecznym parkiem, tutaj było cicho i mroczno. Otworzyłem wszystkie okna i drzwi na werandę, żeby pozbyć się zaduchu i wilgoci.

Ze względu na osłabionego Wardę przygotowałem szybki i lekkostrawny obiad złożony ze spaghetti z sosem i sałaty pokropionej oliwą i octem. Zjadł wszystko do ostatniej nitki makaronu. Potem poprosił o dwie tabletki aspiryny. Ból w stłuczonym boku powrócił. Dałem mu je z wraz ze szklanką wody. Wstawiłem naczynia do zmywarki, czekając, aż Warda się odezwie. Czułem, że jego milczenie jest jak tama, która powoli zaczyna przeciekać.

Zabraliśmy dzbanek kawy i talerz ciastek na werandę, gdzie Warda, mimo upału, zapadł się w poduszki kanapy i przykrył kocem. Odpoczywał, a ja udawałem, że czytam książkę. Wtedy zaczął opowiadać. Zasłuchany nawet nie zauważyłem, kiedy minęło popołudnie, nadszedł wieczór, a na werandę wlatywały zwabione wonią naszych spoconych ciał komary.

W dzierzoniowskim areszcie śledczym nauczyłem się trochę boksować, zaczął opowiadać Warda. Częściowo dlatego, że początkowo bałem się zaczepek i napaści, a częściowo przez złość. Musiałem w jakiś sposób ją rozładować, bo w takim miejscu niedobrze jest żyć emocjami. A grupa bokserów okazała się całkiem bezpieczna. Nawet dla kogoś takiego, jak ja – bez kryminalnej przeszłości. Pół roku ciągnęło się niczym oczekiwanie na spóźniony pociąg, ale końcówka okazała się najgorsza. Byłem zmęczony i obolały. Nie spałem przez trzy noce z rzędu i kiedy wreszcie na początku października stanąłem za drzwiami tego gmaszyska z czerwonej cegły, ponurego tak samo, jak reszta odrapanych zabudowań na całej ulicy, miałem ochotę położyć się pod pierwszym lepszym drzewem i zasnąć.

Może to pana rozbawi, ale wtedy też miałem rozbitą wargę i otartą szyję. Poprzedniego wieczoru urządziliśmy sobie pożegnalną walkę.

Nie odpowiedziałem. Czekałem.

Przez całe sześć miesięcy pobytu w areszcie gnębił mnie jeden z więźniów, kontynuował Warda. Ten człowiek wybierał jedną ofiarę, najchętniej kogoś młodego, i znęcał się z satysfakcją rozumiałą tylko dla niego. Nie chodziło o bójki, kradzieże, czy

nawet wyzwiska. Ktoś dowcipny nazwał go „Cyrulikiem”.

Cyrulik podchodził niezauważony, stawał za plecami, po kryjomu chwycił kilka włosów na głowie ofiary i wrywał. Moim zdaniem miał jakieś zaburzenia, fiksację, którą powinno się leczyć. Powinno, ale nikogo to nie interesowało. Dla starych recydywistów Cyrulik był pośmiewiskiem, a zmorą nowych więźniów, którzy nie byli na tyle doświadczeni, żeby wiedzieć, co się robi w takiej sytuacji. Krótko mówiąc, Cyrulik wziął się na mnie.

Najłatwiej by było po prostu ogolić głowę do gołej skóry. Wielu przede mną tak robiło dla świętego spokoju. Jednak szybko odkrywali, że Cyrulik nie dawał zbyt łatwo za wygraną. Gdyby na mojej głowie nie znalazł włosów, mógł chwycić skórę na uchu, karku i uszczypnąć do krwi. Nawet go bito i grożono śmiercią. Nic z tego. Nie wydając z siebie żadnego dźwięku kulił się, chował głowę i uciekał. Jego chuda, pokracznie zgarbiona postać znikwała z oczu. Mijał dzień, przywykałem już do spokoju i nagle Cyrulik znowu pojawiał się za plecami. Niczego nieświadomy nagle czułem palący ból w okolicy ucha lub skroni. Upuszczałem trzymany talerz, oblewałem zupą siebie, lub, co gorsza, współwięźnia.

Nie wiedziałem, że można poczuć taką nienawiść. Siedząc dzisiaj z panem w kuchni – mówił Warda – sam z trudem ufam wspomnieniom. Przecież ten wariat w sumie był niegroźny. Poznałem w Dzierżoniowie ludzi naprawdę złych. Nie zostałem ofiarą zbiorowego gwałtu ani pobicia. Jednak w zamknięciu, gdy dzień po dniu wciąż i wciąż, bezradny wobec jednego tylko człowieka, w końcu zacząłem czuć pogardę do siebie samego. Zacząłem trenować boks, a moja wściekłość na samego siebie

znalazła, chociaż częściowo, ujście. Mimo wszystko z czasem frustracja zaczęła się kumulować. To nieprawda, że człowiek może przetrwać wszystko. Wystarczył jeden upośledzony współwięzień. Ku mojemu zaskoczeniu nawiedzały mnie myśli o samobójstwie.

Minęło już prawie sześć miesięcy, dla mnie wieczność. Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby prawnik nie przekazał dobrej nowiny. W czasie śledztwa oddalono postawione mi zarzuty. Za ostatni z nich, najmniejszej wagi, miałem otrzymać wyrok w zawieszeniu. Został tydzień, aż dokumenty zostaną podpisane i przekazane do prokuratury we Wrocławiu, a stamtąd zostanie wysłany wniosek o zwolnieniu z aresztu.

Świadomość rychłego zwolnienia dodała mi pewności siebie. Począłem do ostatniego tygodnia. Wtedy poprosiłem naszego starszego celowego, żebym mógł walczyć z Cyrulikiem. Początkowo inni trenujący boks drwili ze mnie. A kiedy zrozumieli, że mówiłem poważnie, wokół mnie zapadła cisza. Wiedziałem, dlaczego. Do tej pory boks był dla nas ucieczką od więziennej rzeczywistości. Przez mnie ta idea została skażona emocjami. Konfliktem jednego więźnia z drugim. Odebrałem im resztki godności i za to mnie znienawidzili.

Miałem kłopoty ze snem. Nie tylko dlatego, że czekałem na zwolnienie z aresztu. Odkryłem, że czekam na możliwość obicia gęby swojego gnębiiciela z większą niecierpliwością, niż na wezwanie do biura po papiery wypisania. Wieczorem przyszedł do mnie nasz trener. Zgodził się. Następnego ranka, po śniadaniu, miałem walkę z Cyrulikiem. Wreszcie poczułem się lepiej. Nawet doskonale. Ten gnojek nigdy nie stanął ze mną twarzą w twarz. Nigdy nie miał na rękach rękawic. Nie chciałem go poważnie

skrzywdzić, tylko porachować mu kości.

Po bezsennej nocy celowo nie zjadłem śniadania. Nie przewidywałem problemów, ale przygotowałem się dokładnie. Wróciłem do celi po rękawice, zameldowałem u strażnika. Wpuścił mnie na aulę, gdzie trenowaliśmy trzy razy w tygodniu.

Ku mojemu zaskoczeniu sala była prawie pełna. Pod ścianami zebrało się kilkadziesiąt osób, a wśród nich byli też strażnicy. Prowizoryczne, pojedyncze liny wyznaczały na środku przepisową, kwadratową strefę. Głosy rozmów ucichły, a ja poczułem, że mój plan obrócił się przeciwko mnie. Nie wiedziałem jeszcze tylko, w jaki sposób. Czy mogłem się wtedy wycofać? Pewnie tak, ale, szczerze mówiąc, pomyślałem o tym dopiero później.

Próbując nie rozglądać się zbyt nerwowo przeszedłem w kącie auli, gdzie mogłem zmienić obuwie. Minąłem szereg mężczyzn o twarzach zastygłych w wyrazie, którego nie potrafiłem rozszyfrować. Wszyscy śmierdziali potem i niepraną odzieżą. Pamiętam, jak przeszkadzał mi ten smród od pierwszego dnia, chociaż z czasem częściowo do niego przywykłem. Mało tego, sam śmierdziałem nie gorzej od reszty.

Do założenia rękawic potrzebowałem pomocy. Podszedł do mnie jeden z dwóch starych recydywistów, którzy dbali o sprzęt sportowy. Łysy miał palce mocno zgrubiałe na kłykciach i przedramiona pokryte tatuażami aż po rękawy koszulki. Wiązał moje rękawice i nie patrząc na mnie uśmiechał się pod nosem. Bardzo mi się ten uśmiech nie podobał. Próbując się skupić patrzyłem na jego tatuaże. Przeważała na nich tematyka erotyczna, ale z jakiegoś powodu na grzbiecie lewej dłoni widniał numer: „16-13-16”.

Przez grupę zdruzzonych czekaniem mężczyzn przebiegł szmer. Szybko zerknąłem nad ramieniem Łysego. Zobaczyłem tylko naszego trenera. Cyrulik nadal się nie pojawiał. Zdjął mnie lęk, że może w ogóle nie przyjdzie. Nagle wszystko to wydało mi się głupim, dziecinnyim pomysłem.

Poczułem się jak kompletny idiota, stojąc w rękawicach przed grupą więźniów, którymi pogardzałem. Skąd przyszło mi do głowy rozwiązanie w postaci sparingu z niedorozwiniętym popaprańcem, który prawdopodobnie całe swoje życie spędzi w podobnej do tej instytucjach? Należało dopaść go gdzieś w odległym kącie i pobić tak dotkliwie, że odczepiłby się ode mnie do końca pobytu.

Ze strachu zacząłem myśleć. Bałem się, że Cyrulik ma przyjaciół, którzy się na mnie zemszczą. Ale w tamtej chwili na auli nagle zrozumiałem, że nikt by się za tym popaprańcem nie wstawił. Był równie samotny, jak ja.

– Zdejmij je – powiedziałem do Łysego, mówił Warda.

– Co?

– Zdejmij rękawice.

– Pojechało cię?

Poczułem klepnięcie w ramię. Obejrzałem się. Za mną stał nasz trener, którego nazywaliśmy „Mucha”, ale nie dlatego, że kiedyś naprawdę walczył w tej kategorii wagowej. Przewisko otrzymał z powody wylupiających oczu. Od czasów, kiedy występował, przybrał sporo kilogramów i Mucha bardziej już przypominał powolnego trzmiela.

– Chodź – skinął głową w stronę improwizowanego ringu.

Chciałem zaprzeczyć, powiedzieć, że zrezygnowałem, ale wtedy zobaczyłem, że Mucha ma na rękach swoje rękawice.

Ołśniło mnie. To nie dla mnie, ani tym bardziej Cyrulika zebrało się tylu ludzi. Przyszli zobaczyć, jak Mucha robi ze mnie miazgę. Jednak Cyrulik miał przyjaciół.

No, może nie tyle przyjaciół, co, całkiem zwyczajnie, on był jednym z nich. Ja, chociaż spędziłem w areszcie śledczym pół roku, z tak poważnymi zarzutami, pozostałem outsiderem. Tam wszyscy siedzieli za niewinność. Ja naprawdę byłem niewinny. I oni to wyczuli. Sam z siebie zrobiłem głupca i miałem odpokutować. Zalała mnie fala wściekłości jeszcze gorszej niż na Cyrulika.

Wściekłości na własną głupotę. Naiwnie próbowałem zastawić pułapkę na swojego prześladowcę. Wtedy dotarło do mnie, że nie mogę się wycofać. Miałem do wyboru – dać się obić tam, na oczach wszystkich, albo w celi, nocą, zanim przyjdzie strażnik, żeby zaprowadzić mnie do wyjścia. Wybrałem pierwsze rozwiązanie. Sam na sam z Muchą mogłem przynajmniej się bronić. Jeśli dopadliby mnie we trójkę, wtedy zamiast na ulicę, mogłem trafić do kostnicy.

Mucha czekał już na mnie wewnątrz wyznaczonego przez grubego sznur kwadratu. Więźniowie wszystko przygotowali swoimi siłami, więc sam ring pozostał nieco umowną przestrzenią, którą faktycznie ograniczali widzowie. Przechodząc pod liną złowiłem spojrzenie jednego ze strażników. On też wiedział, w co się wpakowałem. Nie zamierzał nic z tym zrobić. Prawdopodobnie miał rację. Jeśli wpakowałem się w kłopoty, sam musiałem sobie poradzić.

Trener był niższy ode mnie o pół głowy, co już samo w sobie stanowiło problem. Kiedy stanął w boksterskiej pozycji, widziałem tylko rękawice i czoło. Moim atutem był zasięg ramion

i wiek. Mucha dobiegał sześćdziesiątki. Jego czaszkę pokrywała krótka, siwa szczecina. Jako stary wyga nigdy nie potrzebował ochraniacza na głowę. Żaden z nas nigdy mu nie zagroził.

Podjęcie decyzji nie było trudne. W zasadzie zostałem już w tym wyręczony. Musiałem się bronić i wytrzymać trzy rundy po dwie minuty. Tyle trwały nasze walki.

Miałem ochotę się rozejrzeć, przekonać czy oprócz nas ktoś tam jest, ale coś mnie powstrzymało. Oni nie byli ważni, chociaż dolatywały do mnie, jakby zza ściany, obraźliwe krzyki. Zza moich pleców wysunęła się tatuowana ręka, trzymająca ochraniacz na zęby. Otworzyłem usta, a Łysy wsadził mi go bezceremonialnie. Mucha ze swojego, oczywiście, zrezygnował. Może naprawdę go nie potrzebował, a może chciał wszystkim pokazać, jak nisko mnie ceni.

Podszedłem dwa kroki i stanęliśmy naprzeciwko siebie. Mucha szybkim ruchem rozluźnił ramiona i pytająco uniósł brwi. Skinąłem głową. Nie byłem gotowy, ale to i tak nie miało już znaczenia.

Uniosłem pięści, próbując przybrać pozycję skuloną i osłonić wszystkie wrażliwe części ciała. Mucha ocenił i zadał pierwszy cios. Lekki, żeby sprawdzić, jak trzymam gardę. Uderzał krótkimi prostymi, których mógłbym uniknąć, ale bałem się stracić kontrolę. Prawa, lewa, wysoko, nisko. Zrobiłem ostrożny krok w lewo, nie odrywając stóp od parkietu. Wbiłem wzrok w widoczną część twarzy Muchy, a on odpowiadał mi spokojnym, czujnym spojrzeniem. Kontrolował wszystko, od początku do końca. Poczuję się pewniej. Nie chciał mi zrobić krzywdy, ale ja miałem ochotę się odgryźć. Postanowiłem odczekać do drugiej rundy. Liczyłem w myślach sekundy.

Krótkie uderzenie z prawej odepchnęło rękawicę i nastąpił szybki cios w odsłoniętą kość policzkową. Mocniejszy niż te przed chwilą. Oskoczyłem do tyłu. Mucha spokojnie podążał za mną. Znowu posypały się lekkie, czujne, wymacujące sondy. Jedna, druga. Straciłem rachubę sekund i przez chwilę panikowałem. Dopóki kolejny prosty nie trafił w nos.

Oślepiiony uciekłem w prawo. Zasłoniłem twarz, a wtedy seria uderzeń dosięgnęła moich żeber. Teraz próbowałem w lewo. Po raz pierwszy usłyszałem okrzyki. Widownia dobrze się bawiła. Jak do tej pory tylko i wyłącznie moim kosztem.

Szybko zerknąłem ponad rękawicami. Przerwa! Potrzebna mi była chwila wytchnienia. Ale pauzy nie było, chociaż minęły już dwie minuty. Nawet trzy, jeśli się nie pomyliłem. Uciekałem, wciąż osłaniając się przed kolejnymi atakami. Nie były specjalnie silne, ale natrętne. I celne. Po twarzy i plecach płynęły strumyczki potu. Mucha nie okazywał jeszcze zmęczenia i systematycznie, szurając stopami gonił mnie wytrwale po naszej ograniczonej przestrzeni.

Widzowie przestawali krzyczeć a zaczęli otwarcie mnie lżyć za pasywną postawę. Kiedy to się skończy?, myślałem gorączkowo. Potem zadałem sobie pytanie nie kiedy, ale jak. Przyszła mi do głowy myśl, a raczej poczułem pewność, że nie opuszczę aresztu. Zostanę pobity na śmierć. Przecież wszystko wskazywało na zмовę. Uciec? Ale w jaki sposób?

Dyszałem już ciężko. Mucha też nie był taki świeży, jak mi się wydawało. Wręcz przeciwnie. Tracił siły dużo szybciej niż ja. Siwą szczecinę na jego czaszce pokrywały kropelki potu. I między kolejnymi uderzeniami zrozumiiałem, że z jakiegoś powodu przestał używać lewej ręki. Musiał sobie naciągnąć

miejsień. Uczepiłem się tej dającej nadzieję myśli. Odczekałem kilka sekund i przypuściłem szybki, chaotyczny atak. Tylko dwa uderzenia doszły celu, ale coś zobaczyłem. Krótki grymas bólu, zmarszczone czoło starego trenera. Miałem rację. Jego lewa ręka lekko opadła, nie trzymała gardy tak dokładnie, jak na początku.

Znowu zaczęliśmy krążyć. Ja uparcie szedłem w moją prawą stronę, zmuszając Muchę, żeby się obracał, jeśli nie chciał odsłonić osłabionego boku. Poczułem przypływ energii. To właśnie była szansa, na którą czekałem. Podwójna pułapka miała się zamknąć na jednym tych, którzy ją ustawili.

Zamarkowałem wypad na lewo, a potem nagle zmieniłem kierunek. Osłabiona ręka Muchy opadła i wiedziałem, że zaraz będzie musiał się wycofać. Wtedy miałem zaatakować. Trener zrobił krok w tył i w tej chwili zobaczyłem, że się uśmiecha.

Pomyliłem się. To nie była podwójna pułapka, tylko potrójna. Stary wyga mnie podpuścił. Kiedy się wychyliłem, sądząc, że on zaczyna uciekać, tak naprawdę najbardziej się odsłoniłem. On miał miejsce, żeby wziąć szeroki zamach.

– Poczułem wstrząs, ale upadku już nie pamiętam – zaśmiał się Warda.

Zasłuchany nie zwróciłem uwagi, że kiedy on opowiadał, nastał wieczór, a potem zapadła noc. Żeby nie psuć atmosfery nadal nie włączałem światła. Warda musiał być już zmęczony, bo na dłuższą chwilę zamilkł.

– Ocknąłem się w celi – podjął w końcu cichym głosem. – Leżałem pod zlewem z głową na podłodze. Dowlokłem się jakoś do swojej pryczy i przeczekałem do rana. Wszyscy byli na śniadaniu, kiedy przyszedł po mnie strażnik. Gdy wreszcie stanąłem na ulicy, jedyną rzeczą, o której myślałem, to miejsce,

gdzie mógłbym odpocząć.

Tym razem Warda zamilkł na dobre. W ciemnościach nie widziałem jego twarzy, ale słyszałem, że jego oddech stał się głębszy. Ostrożnie wstałem i zamknąłem drzwi zewnętrzne na klucz. Już miałem wrócić do wnętrza domu i zostawić go śpiącego na ganku, kiedy powiedział coś jeszcze:

– Jutro panu opowiem, skąd mam ten garnitur.

– Nie mogę się doczekać – odparłem.

Zaśmiał się cicho i tym razem naprawdę zasnął. Tego wieczoru ja też szybko zasnąłem i śniły mi się wielkie postaci, tańczące w nienaturalnie powolnym tempie, rzucając długie, rozedrgane cienie, walczące na śmierć i życie...